



ROZDZIAŁ TRZECI I CZWARTY

Tytuł oryginału
La storia di Iqbal

Copyright © 2001, Edizioni El S.r.l., Trieste Italy

Copyright © 2006 for the Polish edition by
Pointa

Copyright © 2007 for the Polish translation by
Pointa and Joanna Roguska-Berdyn

Zdjęcie dywanu na okładce
Robert Harding
Copyright © 2003 by Robert Harding/Alamy

Projekt okładki
Russell Gordon

Reprinted with the permission of Atheneum Books for Young Readers, an imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division from IQBAL by Francesco D'Adamo. Jacket illustration and design by Russell Gordon (NY,2003)

Redakcja
Maria Rawska

Konsultacja językowa
język polski: Barbara Jasińska
język włoski: Magdalena Zabłocka i Szymon Giuditta

Korekta
Anna Lis

WYDAWNICTWO POINTA
ul. Parkowa 11, 05-510 Konstancin
e-mail: pointa@pointa.com.pl
www.pointa.com.pl
fax: 00 48 22 754 60 58

ISBN – 978-83-924991-0-7

Ikebal, pamiętam to bardzo dobrze, przybył pewnego ranka na początku lata. Gorące słońce było już wysoko, a długie smugi jego światła, w których wirował kurz, przenikały przez ściany blaszanego hangaru, gdzie pracowaliśmy. Dwie z nich krzyżowały się dokładnie na wątku dywanu, który tkalam, podkreślając jego żywe kolory, a ja wyobrażałam sobie, że są to ostrza dwóch mieczy staczających śmiertelny pojedynek.

Zdecydowałam, że jeden będzie mieczem dobrego człowieka, a drugi - nikczemnika. Poruszając pedałami krosna, byłam w stanie sprawić, żeby dobry miecz na chwilę osiągał przewagę, zmuszając przeciwnika do ucieczki, który później jednak powracał do zajadłego kontrataku.

Karim, który miał prawie siedemnaście lat, a jego palce były już zbyt grube i niezdarne, żeby wyplatać miękkie i delikatne nitki dywanów i dlatego stał się w pewnym sensie naszym nadzorcą, opowiadał, że był kiedyś dwa razy w kinie. Podobno widział tam takie filmy, na końcu których, po długich zmaganiach, zawsze wygrywał bohater pozytywny. Potem przywdziewał

piękny strój z kolorowego jedwabiu i prosił o rękę swojej wybranki. Ojciec panny nie mógł odmówić, a nawet był rad, że oddaje córkę bohaterowi, który pokonał nikczemnika, narażając własne życie.

Być może Karim naprawdę był w kinie, tak sędzę, mimo że dla nas było to nieosiągalnym marzeniem.

Czasem bowiem, wieczorami, kiedy był w dobrym humorze, opowiadał nam różne epizody ze wszystkimi szczegółami. Nie mógł ich sobie przecież wymyślić, nie miałby takiej wyobraźni. Były to filmy bardzo długie i wielowątkowe. Opowiadanie pierwszego z nich, zajęło mu ponad dwa miesiące, również dlatego, że nie każdego wieczoru miał na to ochotę. Był bardzo kapryśny. Kiedy dotarliśmy do końca opowieści, nie pamiętaliśmy już początku i prosiliśmy, by zaczął od nowa. Marzyłam o tym, żeby móc pójść kiedyś do kina. Ani moja mama, ani mój tata, ani żadne z mojego rodzeństwa nigdy nie byli w kinie. Byliśmy zbyt ubodzy. Kino było luksusem zarezerwowanym dla bogatych mieszkańców miasta. Tak jak i telewizja.

Nasi właściciele mieli telewizor. Nocami, kiedy próbowaliśmy zasnąć, słyszeliśmy jakieś dziwne odgłosy dobiegające z salonu Hussaina Khana i przez plecione zasłonki na oknach widzieliśmy kolorowe, migające światełka.

Ten sam Karim opowiadał nam, że rzekomo doczołgał się kiedyś aż pod okno salonu, zajrzał do środka i zdołał obejrzeć prawie pięć minut meczu krykieta.

- Co to jest krykiet? – spytałam.

- Cicho bądź, głupia! – burknął.

Ale ta historia, według mnie, była zmyślona. Faktem jest, że Karim podlizywał się pryncypałowi i że nas dla niego nadzorował, w przeciwnym razie bowiem nie miałby się gdzie podziać i co jeść, ale nigdy nie zdobyłby się na odwagę, żeby zrobić coś podobnego. Biada temu, kto zbliżyłby się do domu właścicieli.

Byłam rozkojarzona. Ledwo zdążyłam złapać nitkę, która mi uciekała. Słońce schowało się za chmurami. Moje dwa miecze przerwały walkę. Wszyscy się odwróciliśmy. Hussain stał w drzwiach, tarasując je całym swoim ciałem. Był ubrany jak na podróż, w długiej kapocie sięgającej mu do stóp i w wysokich, lekkich butach pokrytych czerwonym błotem. W lewej ręce trzymał worek, a prawą ścisnął ramię chłopca kilka lat starszego ode mnie. Ścisnął go aż do bólu.

Chłopak był niezbyt wysoki, szczupły, ciemny. Pomyślałam, że jest ładny. A potem, że nie, że jednak nie jest ładny, ale miał takie oczy, których nigdy nie zapomnę, oczy mojego Ikebala. Były słodkie, głębokie i pozbawione strachu.

Zatrzymał się w progu warsztatu. Wielka ręka Hussaina, w silnym uścisku miażdżyła mu ramię.

Wszyscy na niego patrzyliśmy – było nas wtedy czternaścioro, plus Karim, nasz nadzorca. Wszyscy – jestem tego pewna – myśleliśmy to samo: że ten nowy chłopak, który przybył, by do nas dołączyć, jeden z wielu,

którzy na przestrzeni lat przyjeżdżali i odjeżdżali, miał w sobie coś innego, coś, czego w tamtym momencie nie byliśmy w stanie dobrze zrozumieć. Patrzył na nas, na każdego po kolei: był smutny, to rozumiałe, był smutny jak ktoś, kto od długiego czasu jest daleko od domu, od swoich rodziców i bliskich, jak ktoś, kto jest właściwie niewolnikiem, jak ktoś, kto nie wie, jaka będzie jego przyszłość i co się z nim stanie, był smutny jak chłopiec, któremu nigdy nie było dane biegać za piłką ani włóczyć się po *suku*¹⁰ popołudniami, próbując ukraść jakiś owoc z ze stoiska lub rzucając kamyczkami o ścianę.

Ale nie było w nim strachu, niech to diabli...

- Na co się gapicie? – warknął Hussain – wracajcie do pracy!

Wszyscy natychmiast odwróciliśmy się do swoich krosien, aby po chwili znowu rzucać im ukradkowe spojrzenia. Hussain zaprowadził nowego chłopca do wolnego krosna, akurat obok mnie. Wyjął spod spodu zardzewiały łańcuch i przykuł nim prawą nogę chłopca.

- To będzie twoje miejsce - powiedział mu – tu będziesz pracował. I jeśli będziesz pracował dobrze...

- Wiem – przerwał chłopak.

Hussain na chwilę zaniemówił. Wziął, jak zwykle, tabliczkę, całą zapisaną znaczkami.

- To jest twój dług - zaczął – i ja każdego wieczoru...

¹⁰ Suk – rynek, plac targowy, bazar. (przyp. tłum.)

- Wiem – przerwał ponownie nowy chłopak.

- Dobrze więc – powiedział Hussain – dobrze, Panie Wszystkowiedzący. Twój poprzedni właściciel uprzedził mnie, że jesteś uparty i pyszny. Ale tutaj przejdzie ci na to ochota. Powiedział mi jednak również, że nikt nie potrafi pracować tak jak potrafisz ty, jeśli tylko chcesz. Zobaczmy. Zobaczmy.

Hussain skierował się w stronę drzwi. Zatrzymał się w progu i wskazał palcem na Karima.

- A ty, pilnuj go dobrze! – warknął.

Karim skinął głową, ale najwyraźniej nie był przekonany.

Nowy chłopak usiadł na swoim miejscu i natychmiast wziął się do pracy. A my wszyscy nadal obserwowaliśmy go w milczeniu, osłupiali. Nikt nie był tak zręczny i szybki jak on, nikt nie potrafił zaciskać supełków z taką precyzją i wyczuciem. Jego palce latały między czółenkiem i osnową jak żadne inne. A wzór, który mu powierzył Hussain, był jednym z najtrudniejszych.

Kolejno i my wróciliśmy do pracy. O jednej rzeczy byliśmy wszyscy przekonani: on nie był „kapuścianą głową”, z całą pewnością. To nie dlatego został przykuty łańcuchem.

Był przykuty z innego powodu.

- Jak się nazywasz? – zapytał go Karim, próbując nadać pytaniu szorstki ton.

- Ikebal – odpowiedział – Ikebal Masih.

Tego samego wieczoru, kiedy Hussain zgasił już światła i byliśmy pewni, że zasnął, wyznaczaliśmy Alego – najmłodszego z nas wszystkich – do pilnowania drzwi, po czym przemknęliśmy się po cichutku przez halę warsztatu, by zapoznać się z nowym chłopcem. Razem ze mną poszedł Karim, który mimo że nie zrezygnował oczywiście ze swojej funkcji nadzorcy i mógłby nam tego zabronić, nie mógł oprzeć się ciekawości. Poszedł też Salman, mniej więcej dziesięcioletni chłopiec, wyglądający jednak na znacznie starszego. Jego skóra na twarzy i rękach była cała krostowata od słońca i gliny, z której wyrabiał cegły przez przeszło trzy lata, w jakiejś cegielni w okolicach Karaczi¹¹. Wszyscy się go trochę obawialiśmy, bo był szorstki i grubiański. Poszła mała Maria, dziewczynka młodsza ode mnie, drobniutka jak ptaszek, z króciutko obciętymi włoskami schowanymi pod bawełnianą chusteczką, którą zawsze nakrywała głowę.

¹¹ Karaczi – ponad dziesięć milionowe miasto w południowej części Pakistanu, na wybrzeżu Morza Arabskiego. Założone przez kupców indyjskich na początku XVIII w. W latach 1947-1959 Karaczi było stolicą Pakistanu. (przyp. tłum.)

Nikt nigdy nie słyszał, żeby wymówiła choć jedno słowo począwszy od dnia, w którym przyjechała do nas na początku zimy i nie wiedzieliśmy czy była niemową, czy co. Również jej imię, Maria, wymyśliliśmy sami, a ona szybko się go nauczyła. Spała zawsze zwinięta w kłębek przy swoim krośnie i chodziła za mną zawsze i wszędzie jak cień.

Reszta wołała spać, bo albo byli zbyt zmęczeni, albo nie mieli ochoty po raz kolejny wysłuchiwać opowieści nowo przybyłego dziecka, takiej samej jak poprzednie. Wszyscy bowiem byliśmy ubodzy, a nasi rodzice sprzedali nas w nadziei, że w ten sposób uda im się spłacić dług, który zaciągnęli u właściciela ziemskiego lub u bogatego kupca z miasta. To była właśnie ta kwota, którą Hussain rysował kredą w postaci znaczków na tabliczce każdego z nas.

Cóż więc mogli usłyszeć nowego?

Ikebal nie spał. Słyszeliśmy, jak jego łańcuch dzwonił w ciemnościach. Pierwszej nocy, kiedy przyjeżdża się w nowe miejsce, nie wiedzieć czemu, nigdy nie można zasnąć. Każdy z nas zmieniał już dwa lub trzy razy właściciela, niektórzy nawet więcej, więc dobrze to znaliśmy. Ścieśniliśmy się wokół Ikebala. Nie było księżycy, więc z trudem mogliśmy odróżnić nasze sylwetki w ciemnościach.

- Bądź czujny, Ali – poprosiliśmy. Hussain zawsze bardzo się denerwował, kiedy zdarzało mu się przyłapać nas, że nie śpimy w nocy. Mówił, że następnego dnia

będziemy ogłupiali i powolni i że nie będziemy pracować wystarczająco dobrze.

Ali odpowiedział nam serią krótkich gwizdów, co oznaczało: wszystko w porządku.

- Mój ojciec wychodził z domu bardzo wczesnym rankiem – zaczął opowiadać Ikebal - kiedy pojawiał się pierwszy promień słońca i od razu zaprzęgał bawołu do lekkiego pługu. O tej porze, nawet latem, powietrze było jeszcze rześkie, łatwo było oddychać, a wszędzie wokół widać było rozległe pola, na których inne rodziny chłopskie pracowały tak jak i my. Szedłem razem z ojcem, niosąc w torbie butelkę wody i warzywa, które przygotowywała dla nas mama. Na początku ojciec pracował z wielkim zapałem, a jego szczupłe ramiona zdawały się nie odczuwać ciężaru pługu. Ale już po kilku godzinach musiał zwalniać i wydawało się, jakby ziemia zamieniła się w skałę. Widziałem strużki potu, które zaczynały mu spływać po klatce piersiowej i po twarzy, a czerwony kurz pokrywał mu włosy. Pług nie zagłębiał się już tak jak wcześniej i nawet bawół stawał z nadmiernego gorąca i ryczał. Później, między dwunastą a trzecią, słońce stawało się nie do zniesienia, a upał zbyt wielki, by móc pracować. Cały świat zdawał rozpływać się we mgle i w spiekocie. Chowaliśmy się wówczas w cieniu drzewa, jedliśmy przyniesioną ciecierzycę, popijając niewielką ilością ciepłej wody, podczas gdy bawół wymachiwał nerwowo ogonem, żeby opędzić się od owadów. - To jest błogosławiona ziemia - mawiał mój ojciec - ziemia

urodzajna i żyzna, dobrze nawodniona. Popatrz, jak wszystko tu rośnie, wystarczy rozrzucić ziarno na polu i jak Bóg pozwoli, jedna rodzina mogłaby żyć tutaj dostatnie przez całe życie. Zapamiętaj to sobie, synu.

-Tak, ojciec - odpowiadałem. Ale w naszym domu nie było dostatku, zawsze brakowało jedzenia, a mój starszy brat ciągle kasłał i źle się czuł. Kiedyś zapytałem ojca dlaczego tak jest, że cała pszenica, owies i warzywa, które uprawialiśmy, były ładowane na wozy w dniu zbioru, a w naszej chacie zostawał tylko jeden worek połamanego, uszkodzonego ziarna i marny krzak wysuszonej ciecierzycy obok paleniska. - Dlatego, że wszystko należy do właściciela - odpowiedział ojciec. - I to jest sprawiedliwe? - pytałem. - On jest właścicielem, a my kimże jesteśmy?

- Mój ojciec też tak mawiał - przerwał Salman - ale mawiał też, że właściciel jest skąpy i zły. Czasem wieczorami, w czterech ścianach naszej chaty, strasznie mu złorzeczył. Moja mama drżała ze strachu i błagała: - Zamilknij, na litość boską! Gdyby usłyszał cię właściciel... Była przekonana, że właściciel ma tysiące oczu i tysiące uszu. Ach, te kobiety... - zakończył Salman pogardliwie - nic nie rozumieją.

Chciałam mu przerwać i powiedzieć, co o tym myślę. Był przekonany, że wszystkie jesteśmy głupie i nieużyteczne. A ja przecież pracowałam tyle co on, a czasem nawet więcej. Nic jednak nie powiedziałam, bo Salman miał trudny charakter i nie lubił, gdy ktoś mu się

sprzeciwiał. Był typem buntownika. Raz nawet trafił do Lochu na dwa dni, a kiedy wyszedł, wyczerpany upałem i pogryziony przez skorpiony, splunął na ziemię i powiedział: - Nic to.

Mówił, że wszystko jest pestką w porównaniu z pracą w cegielni. Ale nigdy nie zgodził się nam opowiedzieć, jak to jest wyrabiać cegły. Ja nawet nie byłam w stanie sobie tego wyobrazić i modliłam się, żeby mój pryncypał nigdy nie sprzedał mnie właścicielowi cegielni. Cóż bym wówczas poczęła?

- Nie należy mówić źle o właścicielach - stwierdził Karim - co byśmy zrobili bez Hussaina Khana? To on nas żywi i chroni. To on pozwala nam pracować i spłacać dług naszych rodzin.

- Zgadza się - zadrwił Salman - i to on pewnego pięknego dnia cię przepędzi, bo już nie będziesz mu do niczego potrzebny i skończysz jako włóczęga na ulicy.

- To nieprawda - zaprotestował Karim - Hussain wie, że jestem mu oddany i potrzebuje mnie.

- Aha, żebyś szpiegował.

Pomyślałam, że zaraz pobiją się w ciemnościach. Salman miał rację: Karim był zawsze gotowy donosić Hussainowi o wszystkim, co się działo lub co zostało powiedziane w warsztacie. Ale czasem wydawało się, że był po naszej stronie. Nie rozumiałam go.

- Mój ojciec jest dobrym człowiekiem - ciągnął Ikebal - nigdy nie powiedział na nikogo złego słowa. Zawsze akceptował swój los. Nawet kiedy stan mojego

starszego brata znacznie się pogorszył i całymi nocami kasłał i jęczał, mój ojciec nic nie mówił. Posłał po doktora do wsi. Doktor przyjechał ze swoją torbą i okularami, ukucnął obok siennika i jakimś dziwnym przyrządem osłuchiwał mojego brata - najpierw klatkę piersiową, potem plecy i pokręcił głową.

- Tak jest - wtrącił Karim - też coś takiego widziałem.

- Potem rozmawiał z moim ojcem, wziął swój kapelusz, bambusową laskę i wyszedł. Mama płakała, straciła już bowiem wcześniej inne dzieci. Następnego ranka, kiedy zaprzęgaliśmy bawołu do pługa, ojciec powiedział mi, że doktor wróci i przyniesie jakieś lekarstwo, które być może uratuje życie mojemu bratu. Faktycznie, doktor wrócił z jakimś drugim, dobrze ubranym mężczyzną, pewnie kupcem lub właścicielem ziemskim i on również rozmawiał z moim ojcem. W pewnym momencie wydobył zza pasa, grubą portmonetkę, wyjął z niej banknoty i pokazał je mojemu ojcu. Ojciec jednak, pokręcił głową i powiedział: Nie.

- A co się stało z twoim bratem? – zapytałam go.

- Nie wyzdrowiał. Majaczył przez cały dzień i całą noc. Mój ojciec nie miał już nikogo, kto mógłby mu pomóc w polu. Ja byłem jeszcze wtedy za mały i za słaby. Rozmawiał długo z moją mamą. Potem dosiadł bawołu i pojechał do wioski. Wrócił bardzo późnym popołudniem, wyszedł z motyką w pole, nie przebrawszy się nawet

i pracował aż do zapadnięcia zmroku. Wrócił, ciężko oddychając, nie zjadł kolacji. Przywołał mnie do paleniska i powiedział, że ktoś pożyczy mu dużą sumę pieniędzy – dwadzieścia sześć dolarów – powiedział, a ja próbowałem bezskutecznie przeliczyć to na rupie - i że za tę kwotę cała rodzina będzie mogła przeżyć aż do następnych zbiorów, a mój brat dostanie nowe lekarstwo i - jeśli Bóg pozwoli - wyzdrowieje. Powiedział, że ja będę musiał pracować przez wiele miesięcy, żeby pomóc rodzinie w spłaceniu długu i że nie będziemy się widzieć, ale że za to nauczę się tkać dywany, a to się zawsze może przydać w życiu, nigdy nie wiadomo.

- Mój tata też zaciągnął dług - wyszeptalam w ciemnościach - po tym jak zerwała się tama i straciliśmy cały zbiór.

- Mój też – powiedział Karim - ale nie wiem dlaczego.

- Mój ojciec - ciągnął Ikebal - powiedział też, że zamiast mnie mógłby wysłać do pracy jedną z moich siostr, ale zaprotestowałem: Nie, wyślij mnie. Przytulił mnie wówczas i zapytał: Boisz się? Nie - skłamałem. Właściciel fabryki dywanów przybył następnego ranka. Przyjechał samochodem, był bardzo uprzejmy, nawet dla mojej mamy. - Zawiozę cię do miasta - zwrócił się do mnie - spodoba ci się, zobaczysz. Kiedy odjeżdżaliśmy, odwróciłem się jeszcze, by spojrzeć po raz ostatni przez tylną szybę samochodu i zobaczyłem mojego ojca, który

aż do krwi bił batem bawołu, ciągnąc go przez pole.

Gdybyście słyszeli ten ryk...Biedne zwierzę.

Na chwilę zapanowała cisza.

- No cóż - powiedział Karim - tobie nie trzeba dużo, żeby spłacić dług twojego ojca. Wiem, co mówię. Wiele widziałem. Nikt nie pracuje tak dobrze i tak szybko jak ty. Wszystkie znaczki na twojej tabliczce znikną niczym śnieg w górach.

W ciemnościach dostrzegłam przez moment białe zęby Ikebala, tak jakby się uśmiechnął.

- Długu nigdy się nie spłaci – powiedział powoli – choćbyś nie wiem jak był dobry, zręczny i szybki.

- Jesteś nienormalny! - wykrzyknął Salman - mówisz tak, bo jesteś złośliwy, mówisz tak, żeby nas przestraszyć. Każdego dnia Hussain ściera jeden znaczek, a kiedy znikną wszystkie, wrócimy do domu. Nawet w cegielni tak było, co ty sobie myślisz?! Musieliśmy wyrobić tysiąc cegieł dziennie i za każde tysiąc cegieł dostawaliśmy sto rupii. Pracowała tam cała moja rodzina. Nawet moje siostry.

- I spłaciliście swój dług? – zapytał Ikebal.

- Nie - wymamrotał Salman - ale to o niczym nie świadczy, bo często padało, piaszczysta ziemia nie dawała się wyrabiać, niektóre cegły rozsypywały się zaraz po wyjęciu z pieca i pech...

- A widzieliście, żeby ktokolwiek kiedykolwiek spłacił swój dług? – przerwał mu Ikebal.

W ciemnościach czułam, jak Maria mocno przytula się do mnie. Czy słyszała i rozumiała, o czym rozmawialiśmy? Ja rozumiałam i było mi przykro, że ten oto, nowo przybyły, mówi nam takie rzeczy. Chciałam mu powiedzieć, że jest obłudnym kłamcą, ale mimo że go nie znałam, tak naprawdę nie wydawał mi się takim.

- Nie - przyznaliśmy wszyscy po kolei - nie, nie widzieliśmy nigdy, żeby ktoś spłacił dług.

- A jednak... – próbował bronić się Salman.

W tym momencie Ali, który przysłuchiwał się wszystkiemu, stojąc na straży przy drzwiach, gwizdnął dwa razy przeciągle i zdecydowanie. Alarm. Przeczogliśmy się do naszych posłań. Próbowałam zasnąć, ale bezskutecznie. Przekręcałam się z boku na bok. Po jakimś czasie powlokłam się tam znowu po zakurzonej posadzce. Ten nowy, Ikebal, też nie spał. Szukałam jego ucha, żeby nikt mnie nie usłyszał.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że nigdy nie uda nam się stąd odejść? – spytałam go rozzłoszczona – Że już nigdy nie wrócimy do domu?

- A ty? Kim jesteś? – spytał.

- Mam na imię Fatima.

Milczał przez kilka sekund.

- Potrafisz dochować tajemnicy, Fatimo? – wyszeptał po chwili.

- Pewnie, że tak, za kogo mnie masz?

- Tak więc mogę ci powiedzieć - zniżył jeszcze bardziej głos - wyjdziemy stąd, możesz być pewna.

- Ale powiedziałaś, że nie można spłacić długu -
przypomniałam mu.
- To prawda, ale my odejdziemy inaczej.
- Jak? Wydaje mi się, że Hussain miał rację,
nazywając cię panem Wszystkowiedzącym.
- Uciekniemy, oto jak.
- Oszalałeś!
- Nie, nie oszalałem. Uciekniemy i ty uciekniesz ze
mną.

Nie znałam go. Mógł być przecież zwykłym
zarozumiałcem, albo może naprawdę był szalony. A
jednak mu wierzyłam.

Wróciłam na swoje posłanie i przez całą resztę nocy
wierciłam się niespokojnie. Cały czas dźwięczało mi w
głowie to jedno słowo i nie mogłam go przepędzić. Było
bardziej natrętne od końskiej muchy.

„Uciekniemy”.



